



# MALY PRZEGLAD

**PISMO DZIECI I MŁODZIEŻY**  
**WYCHODZI CO PIĄTEK RANO KORESPONDENCJE I MATERIAŁY**  
**KIEROWAĆ NALEŻY DO REDAKCJI „MŁODEGO PRZEGLĄDU” NOWOLIPKI 7**  
**TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY DO NR. 53 (4491) „NASZEGO PRZEGLĄDU”**

**WŁADYSŁAW BERG** (VII kl. gimn.)

## KARTOTEKA SĄDU DLA NIELETNICH

Systematycznie ułożony zbiór kartek. Starych z przed lat kilku lub kilkunastu, wyblakłych i porudzianych; niedawnych, o zlekką pożółkłych brzegach; nowych wreszcie, rażących oko śnieżną bielą świeżo zapisanego papieru.

„Drobne wyraźne pismo kobiece układa się w krótkie zwięzłe notatki z sądu dla nieletnich — owoc długiej uciążliwej pracy. Przebogata galeria charakterów. Nieoceniona kronika szczegółów i faktów, wyciętych z życia ostrym skalpelem wnikliwego psychologa. Muzeum dziecięcych „grzechów”. Przyczynki ciekawy również dla psychologa, jak i badacza stosunków społecznych. Przyczynki dające opartą na wieloletniej obserwacji odpowiedź na dziesiątki narzucających się pytań. Dlaczego kradną? Co zmusza ich do wejścia na śliską drogę występku? Czy czynią ich wogóle mogą być określone mianem „występku”? Czy?... Jak?... Dlaczego?... Sze reg niedziarnych znaków zapytania, układających się w łamaną, pełną niezgłębionych tajemnic liniję wykresu statystycznego.

Charakterystyczny rys większości wypadków — zwykle nie kradną dla siebie. Kradną z miłości. Z miłości dla swych znajdujących się w biedzie najbliższych.

Przed sądem staje mała, wątła, trzynastoletnia dziewczynka z prawie przezroczystą twarzą o kolorze roztopionego wosku. Niebieskie wyblakłe źrenice, zagrzebane gdzieś w zapadłych jamach oczodołów patrzą tępo, a raczej mają ten martwy wyraz rezygnacji, ukutej twardym bezlitosnym młotem bólu i cierpienia.

Akty notują imię — Jadzia, i nazwisko, zlepek bezwartościowych liter, przylepionych, jak urzędowa pieczęć kancelaryjna, do samodzielnej, myślącej istoty ludzkiej. Jadzia... To imię nic nie mówi. Więcej może powiedzą pa pierzy sądowe, oskarżające ją o kradzież pięćdziesięciu złotych.

Wywiad w mieszkaniu Jadzi. Wnętrze potłumione przybudówki, niezdarne przylepione do rozwalonej rudery na Podwalu. Ciemna izdebka, pełna ludzkiego drobiazgu. Przy rozbitej zamazanej szybie okiennej siedzi mały potworek z olbrzymią głową, nienaturalnie wydętym brzuchem i wytrzeszczonymi mętnymi oczyma. Typowe dziecko alkoholika. Matka, niemłoda już kobieta z wyzartem — przez łzy zapewne — policzkami. Chude, wyschłe, grucielce piersi i spracowane zorstkie ręce praczki. Złamanym głosem opowiada.

Z pierwszym mężem miała dwoje dzieci. Jadzia jest właśnie jej pierwszą córką. Po jego

śmierci wyszła drugi raz za mąż, za kowala — wdowca, również z dwójgiem dzieci. Z nim ma znów dwie dziewczynki i jednego chłopca, tego właśnie, który siedzi pod oknem. Mąż pracuje w fabryce, zarabia dość dużo, ale pije. Stale przepija całą pensję. Żonie nie daje nie lub nędzne grosze. Nocami, gdy wraca pijany z szynku, wywleka żonę z łóżka i katuje ją z wyrafinowanym sadyzmem, odgraża się dzieciom śmiercią.

Głęboko, w najboleśniejże zakątku serca Jadzia uderza cierpienie matczyne. Wątle tyraniźwane życie ludzkie burzy się w swojej bezradnej słabości. A w długie, ciche, przerywane tylko drżącym pojękiwaniem matki, noce, Jadzia rozmyśla. Jak pomóc matce? Matka!.. Któż nie wie, co to jest matka?..

Pracznka wdycha. Suchy grucielczy kaszel dławii piersi. Powoli zaczyna opowiadać o kradzieży.

Raz Jadzia z koleżanką poszła do budki z papierosami, należącej do siostry tej koleżanki. Jakis elegancki pan podszedł, poprosił o pudełko papierosów i położył pięćdziesięci złotowy banknot. Siostra koleżanki włożyła go do kieszonki, poczem wydała resztę. Jadzia pożądlwie patrzyła na papierak. „Oho, — pomyślała, — mama miałaby przez tydzień obiad i mogłaby sobie kupić, coby tylko chciała”.

Walka wewnętrzna trwała ułamek sekundy. Jadzia ukradła pieniądze. Kiedy przyniosła pieniądze, powiedziała matce, że znalazła je na ulicy.

— A było po pierwszym mężu poprzedniej nocy był w szynku; w domu nie było ani grosza; i wzięłam te pieniądze. A — tu jęklivy ton opowiadania przechodzi w tłumione chlupanie — jak spytałam, co ona chce, żeby zrobić z temi pieniędzmi, poprosiła mnie, żebym się najadła do syta i kupiła sobie chustkę, bo teraz zimno już na dworze. Sama zaś — kobieta wyubcha niczem niepohamowanym płaczem — sama ani groszika nie wzięła dla siebie... ani groszika...

— Czasami jednak kradną i dla siebie.

Kiedy nadejdą pierwsze mroźne wiatry, kiedy ukośne promienie słońca przestają udzielać ciepła życiodajnego ciepła, gdy pierwszy śnieg wypędzi ostatnie wspomnienia minionego lata, głód staje się coraz bardziej natarczywy i natarczywy. Sąd dla nieletnich rozpatruje wtedy codzien nie wiele spraw jednostajnych, identycznych, szablonowych nieomal.

Dzieci ulicy chcą żyć. Aby żyć — trzeba jeść. To nieubłagane prawo życia. A jedzenie jest tak blisko: tylko rękę wyciągnąć i

wyciąć smaczny wabiący obwarzanek z kosza ulicznego handlarza. I coraz częściej wyciąga się chciwa ręka, chwytą pożądaną zdobycz i mały — już „przestępca” — zawierza ocalenie rącości swych niezupełnie jeszcze odmrożonych nóg. Czasem jednak nie udaje się, i niepotrzebnie dla nikogo „zbrodzień” zostaje zatrzymany.

Wówczas na wokandę sądu dla nieletnich wpływa jeszcze jedna „szablonowa” sprawa.

Ostro odcina się od tych powszednich wypadków sprawa zupełnie innego rodzaju, sprawa, której nie można nazwać banalną; sprawa raczej sensacyjna, oczywiście nie sensacją brukowych powieści kryminalnych, nie sensacją zwyrodniałych, głodnych niezdrówego dreszczyku mózgów.

Jest to sprawa Franka (nazwijmy go Frankiem) czternastoletniego psychopaty.

Dziwny to wyraz i dziwny też jest efekt, który wywiera. Mimowoli stają przed oczyma podniecone wyobraźni chwytne szaleńcze ręce i wykrzywione paroksyzmem furji twarze...

Nic podobnego! Frank — to ładny, jasny blondyn z wyrazistymi ciemno-piwnymi oczyma. Oskarżony o kradzież 200 złotych. Odpowiada jasno, spokojnie, inteligentnie. Na czym więc polega jego psychologia?

Psychoza Franka — to rzadko spotykany, tem cięższy jednak wypadek, instynktownej ucieczki przed rzeczywistością. Przed brudno — szarą rzeczywistością, splamioną nędzą dnia powszedniego. Samozachowawczy odruch wyobraźni i fantazji przeciw wiążącemu kajdanom zaszarganego życia. Podobny psychopata — to ponure nieprawie dziecię dzisiejszego anormalnego układu stosunków społecznych.

Bezpośrednio po narodzinach syna, ojciec Franka został powołany na front. Może ślepy los skazał go na tułaczkę, może powalił jego ciało na jednym z pól, gdzie w dzikiej, wzajemnej rzezi legło wielu okrytych różnolionymi płachtami mundurów ludzi, w których żyłach krążyła taka sama czerwona, niepotrzebnie przelewana, krew.

Niewiadomo. Fakt, że nie wrócił. Ślepy los często staje się niemym i głuchym na szloch złamanej postaci kobiecej z kwilącym zawiniątkiem u piersi.

Matka Franka chwytła się wieku zajęć.

Od zawodu szwaczki i praczki staczała się coraz niżej po pochyłej równi zniszczonego życia, aż nakoniec została paserką, uszynującą się z przechowywa-

nia złodziejom skradzionego przez nich łupu.

A Frank rósł.

Mały brzdąc prędko nauczył się chodzić i mówić. Nauczył się też prędko rzeczy stokroć ważniejszej — umiejętności słuchania.

Słuchał chciwie wszystkiego, czy były to długie bajdy matczyne, czy dziwne, niezrozumiałe, pociągające tajemniczością, plugawe anegdoty złodziejskie, opowiadane gwarą szumowin i mętów społecznych, czy słowa nauczyciela szkoły powszechnej, do której zaczął chodzić od ósmego roku życia.

Frank słuchał.

Nietylko słuchał — zaczął czytać.

Skradzione nie wiedzieć gdzie przez włamywaczy tomy hugowskich „Nędzników” nie znalazły nabywcy w ich półświatku. Polyskując więc złoceniami liter swej ciemnognatowej oprawy, leżały w zapomnieniu w którymś z kątów złodziejskiej meliny.

Frank znalazł te książki. Zaczął je czytać. I naraz doznał objawienia. Został ośniony ich bajecznym, a tak realnym światem. Pokochał Kozetę, płakał wraz z Fantiną, tropił z Javertem przestępców, zachwycał się Marjuszem, łobuzował z Gavrochem, ale nadewszystko umiłował Jeana Valjeana. Zaczął wcielać się w jego postać, żyć jego życiem i myśleć, czuć tak właśnie, jakby myślał i czuł jego ulubiony bohater.

Przed wystawą biura podróży Frank zatrzymał się nagle.

Dwieście złotych! Dwieście złotych w kieszeni. Pieniądze parzyły trzymającą je rękę. Nigdy w życiu nie trzymał, nie widział nawet takiej sumy. Lecz dziś, po rocznym pobycie w terminie u krawca, majster ufając mu widocznie, dał te pieniądze na wpłacenie różnych należności, a Frank trzymając je, czuł się bogaty cudziemi pieniędzmi.

Nadchodził marzec. Wciąż jeszcze padał lepki śnieg, i — zaledwie dotykając ziemi, zamieniał się w tworzącą brudne kałuże wodę. Frank z trudem człapał po błocie. Aż nagle stanął. Olbrzymi reklamowy afisz biura podróży zaśmiał się do niego z poza wystawowej szyby. Czarną literę tytułu wyraźnie odcinały się od zalanych południowym słońcem gór i lasów. Frank przeczytał: „Midi de France”... Dziwne, pociągające słowa: „Midi” i „France”... Frank nigdy nie słyszał tych słów.

Wielobarwny afisz rwał oczy. Słońce mieniło się wszystkimi barwami palety. Słońce z afisza wabiło. Tak, oto wyraźnie uśmiecha się do niego i mówi:

— Chodź, nie wracaj więcej

Układ numeru :

strona 1 i 2 — dla młodzieży.  
 Str. 3 „Piórem 13-latku” — dla czytelników w wieku lat 10—14.  
 Strona 4 — dla wszystkich.  
 Stronice 5 i 6 — dla dzieci.

do domu! Przecież tak nienawidzisz tej krawiecizny!

Krótką i ostrą, jak oślepiający blask błyskawicy, myśl: Jean Valjean nie usłuchałby. Frank zatrzymuje się. Ale...

— Poproszę o bilet do Gdyni. Dlaczego właśnie do Gdyni? Frank sam nie wie.

— Na który pociąg?

— Na najbliższy.

— Chwilowo u nas zabrakło,

— informuje grzecznie urzędnik — można jeszcze dostać na dworcu.

Frank oddycha z ulgą. Nie wyda majstrowych pieniędzy. Jan Valjean ustrzegł go od popełnienia kradzieży.

Ale oto dworzec. I znów jak prowadzony magnetyczną siłą. Frank wchodzi i prosi o bilet.

Po chwili w kieszeni jego leży już bilet do Gdyni.

Przenikliwy świst lokomotywy przeciągłe wycie okrętowej syreny. Zgrzyt portowego żorawia. „Ładują węgiel” — myśli Frank, poprawiając podarte porcie-ta.

Jest głodny. Pieniądze gdzieś się rozlały. Za ostatnie groszaki kupił markę na list do matki.

„Mamo, jestem w Gdyni” — krzywe rozbiegające się litery wyrażają burzę wewnętrzną chłopca — „Nie mam ani grosza. Prześlij pieniądze na powrót”.

Sąd uwolnił Franka od winy i kary. Uznano go za psychopatę i przydzielono mu kuratorkę. Frank codziennie chodzi do niej na lekoje. Uczy się. Nieznany barwny świat pociąga go do siebie. Wiedza. Frank uważnie słucha. Przyroda... Geografia... Historia...

W małej stancji aptekarza, u którego pracuje, jako chłopak na posyłki, Frank wieczorami marzy.

... dżungla... pampasy... prerje... tabuny rozszalałych koni... tajemnicze ciemne puszcze... smukłe wyniosłe eukaliptusy... szumiący szafir morza... a wszystko zalane złocistym uśmiechniętym słońcem z reklamowego afisza.

Ach, plunąć na wszystko — дума Frank — plunąć i uciec...

I Frank plunął na wszystko.

Ze skradzionymi u pryncypała — aptekarza dwudziestoma złotymi uciekł koleją w świat.

Pieniądze prędko wyczerpały się. Poszedł pieszo.

Bose stopy — buciki dawno już się zdarły — podrywały tu-

(Dok. na str. następnej).



### Kartoteka sądu dla nieletnich

(Dokończenie)

many pyłu z udeptanych dróg wiejskich. Gdy był głodny kradł albo zebrał. Spoczątku przychodziło mu to z trudem, potem — przyzwyczaił się. I ciągle szedł. Był piękny wiosniany maj. Franek maszerował, a cała natura uśmiechała się do niego. Uśmiechała się doń dzwicznym poszumem rozchwyanych wiatrem łąk i srebrzystym szmerem młodych chlebnych kłosów... Uśmiechała się czarnymi wykrotami wysokopiennego sosnowego lasu i bełkotliwą pogwarą pływającego strumienia... Uśmiechała się kotatliwym klekotem starego bocka i rozchybotaną ponad szerokiemi rozłogami pieśnią skowronczą... A nade wszystko śmiało się do Franka rozigrane złote słońce, stokroć piękniejsze od stylizowanego południowego słońca prospektów reklamowych. Dusza Franka pluskała się w nieograniczonym przestworzu, pełną pierśią wdychając życiodajne soki. Po raz pierwszy w życiu Franek czuł się szczęśliwy.

— Nie sądzicie!  
Nie sądzić, ani karać ma za zadanie sąd dla nieletnich, a pomagać.

### LUSIA z Częstochowy (VII kl.)

#### List, który nie przyszedł

Codziennie czekam na list.  
Na list w niebieskiej kopercie,  
Który nie przychodzi.  
Listonosz z skórzaną torbą  
Jest chory na serce —  
Bardzo wolno nu stopnie wchodzi,  
Z pomiędzy żółtych wasów  
Ciężki oddech, jak parowozu świst,  
Napętnia niespokojną sien.  
Zgarbione plecy. Ciężka torba.  
Może dla mnie chowa list?  
Nie. Nadaremnie minął dzień.

Nie mogę trafić kluczykiem do zanku  
(Na pierwszym piętze listonosz dyszy,  
Ciężko chwytają oddech półotwarte usta).  
Wreszcie otwieram blaszane drzwiczki  
(Skrzypią nieprzyjemnie w ciszy)  
I skrzynka znowu, znowu jest pusta.

Jak wygląda taka pomoc?...

Kurator, któremu powierzono dziecko, odwiedza je co pewien czas, zanosząc mu jakies drobne datki w naturze.

„Moralnie i zdrowo sądząc, dawać jałmużnę, jest to podlic tego, który ją dostaje, kiedy prze ciwnie nastęrczyć mu jakas prace, jest to zarazem pomagać mu i zaszczycać“ (E. Sue).

Filantropja — to slowo dziś nieistotne, to ciężka i niebez-

pieczna spuścizna. Prawo do pracy — oto jedyna wartościowa zdobycz socjologii. Praca — to jedyny sposob i cel zarazem dobrze zrozumianej pomocy.

Sąd dla nieletnich musi zostać zreformowany na tej własnie zasadzie, jeżeli nie chcemy, by stał się on w społeczeństwie instytucją zbędną, a nawet szkodliwą.

### RYSZARD (VI kl. gimn)

## Maniek Kruszyna umiera

W sekundę po naciśnięciu czerwonego guziczka, zaterkotał z drugiej strony bramy młoteczek dzwonek, który po chwili osłabł: drżał już tylko ledwie, aż w pewnym momencie zemdlął z nie mocy i umilkł. W bramie jeszcze tylko jego echo dzwoniło.

Księżyc zatrząsnął zszębiał przezroczyście, jak tiul chmurki. Rozległo się ciche, póź niej coraz mocniejsze człapanie ciap dozorczy o betonową posadzkę, zgrzyt przekręcane go klu cza. W dali za czarnym parka nem, nad czarnym brzegiem bia łej, światłem księżycy, rzeki, ktoś lkał na strumie jakąś nieznaną nielomu melodię o tęskno cie.

Dochodzące dźwięki, rozply wając się po śpiącym podwórzu, odbijają się w kacie o ubikację i stamtąd ściekają oknem suteryny do Mańka. To jest piękne i to, Maniek nie wie, dlaczego, takie mu jest bliskie, zrozumiałe.

Pokój oddycha ciszą nocy. Z głębi dochodzi chrapanie ojca, lekkie przerywany oddech matki, oraz jej dwojga dzieci: Zdzicha i Nusi.

Maniek coraz głośnieji oddy cha, coraz częściej zachłystuje się powietrzem, które łyka z lek kim świstem w gardle. Podniósł się na łóżku półciałem, poprawił sobie, odwracając na drugą stro nę, poduszkę, zmietoszoną po ściel i przywarł rozpaloną twarzą do chłodnej teraz bielej ma terji.

Maniek pluje: kurczy mięśnie szczęk, wlewa wydobyte z płuc płwociny w zagłębienie języka i wraz z resztkami powietrza w pier si wyfycha to wszystko z wiatrem przez okno, ku trupiemu swą białością księżycowi. Płwo ciny padają na srebrną nocą pierś brukowca, czerwone od za wartej w nich krwi Mańkowej.

Zmęczony opada na poduszkę i dusząc się od wysiłku łyka łak omie powietrze, te zaś przypra wia go o lekkie drapanie w płu czech, i dusi się znowu chwilę,

aż zaczyna strasznie, bez końca kasłać.

Stara się zapanować nad kasz lem; zatyka rękoma usta, kurczy się, lecz to nie pomaga — o ścianę małego pokoiku odbija ją się odgłosy powstałego nagle zamętu i docierają do uszu śpiących. Matka przewraca się na drugi bok i znowu, zmęczona pracą, usypia.

Matka to napozór śmieszna nieco kobiecina: mała, drobniutka, wiecznie, jak każda matka, zatroskana. Ostatnio codziennie rano o piątej i pół wstaje. Spod pierzyny wysuwa się głowa, po tem ręce i nogi, nagle chce się to wszystko znowu schować w fakdy pierzyny, lecz ta sama od sruwa się w przeciwną stronę, i matka wyskakuje, chlaszcząc boskami nogami o białą podłogę. I wraz z Popławską z trzeciego piętra, jej przeciwstawieniem — olbrzymią, szeroką w biodrach wdową po tramwajarzu — idzie na Wielką do prania. Popławska ma duże, olbrzymie ręce i jest silna; matka ma słabe ręce i nie raz po powrocie późnym wieczorem z pracy cicho (Maniek nie raz to słyszał) skarży się komo dzie: „Och, jak mnie ręce boją, Boże! Moje ręce...“, a później przy stole, gdy kto to posłysz, tłumaczy się naiwnie:

— To artretyczne bóle, nie z pracy! Pewnie jutro będzie zmiana pogody. Jak zmiana — to wszystkie kości mnie rwą, boją, Starość...

Gwiazdy płoną, jak lampa w cichym pokoju. Maniek budzi się z zadumy. Myśli: matka powie działa „starość“... Ja jestem młody... młody... mam siedemnaście lat i chcę żyć, kochać, oddychać bez trudu jak dawniej, pracować, wachać jeszcze własny pot, być furmanem, poklepać jeszcze Maćka, i nie będę (głuchy łoskot w głowie, lekkie drapanie w gardle) i nie będę... Nie docze kam już zmierzchu, może nawet świtu, nie uirzę matki (Mamo! Mamo, ratuj! Boże, nie chcę

umierać, nie, nie... Czemu mi tak gorąco?)

Uspokoił się. Lampka nad ubi kacją migocze. Maniek wpada w stan półodrętwienia. Majaczy... wspomina...

... Oto Maniek Kruszyna pu ka w okna sąsiadów: Helka, chodź się przejść! — I oto idą... Wisła płynie koło jej boku, jej — Helki, jego dziewczyny. Idą i idą wciąż, trzymając się za ręce, a nim ujdą za mostem kroków kil ka, to zniknie czerwony obłok wieczoru, a później gwiazda za błyśnie na niebie. Gdy zrobiło się granatowo, usiedli. W dole, przed nimi, ruchem pełzającego węża wila się rzeka. Rzeka wila się i drgała, podobna do przecią gającej się, obudzonej dziewczyny. Była noc i był księżyc ot taki, jak tu teraz: błądy, wiecz nie srebrny, z głupim uśmiechem na gębce.

I od tego czasu Maniek zaw sze pukał w okna sąsiadów i szeptał: Helka, chodź się przejść!

I szli nad Wisłę. Aż ojciec za broniał. Ojciec: wielki, olbrzymi chłop, mężczyzna, silny, jak nie gdyś sam Lampucer, Lampucer — ten silacz nadwiślański, co, gdy huknął pięścią w cyferblat, to nie było chłopca, któryby mu się pod takim uderzeniem nie położył.

Ojciec ma dwa wasy i dwoje zwisających rąk, żyłastych od pracy. Dawniej te ręce odpycha ły wiosem od brzegu Wisły bat i wydobywały z ona rzeki mok ry biały piach, piach — złotów ki; teraz zaś muszą bezczynnie zwiśać. Niema pracy. I ojciec nie wie, co z temi rękami zrobić: czasem pragnie miemi bić albo trzepać futrzane palta, a czasem pobiegłoby do pierwszego spotka nego człowieka, objąłby temi rękami i ścisnął, kochał...

Myśli Mańka znowu wracają do Helki, później zaś przed oczyma staje mu Maciek. Widzi go, jak wyciągając łeb do przodu, przęcąc ciało, ciągnie zielony wóz, naładowany „z czubem“

piachem. Maniek pomaga mu ciągnąć: pcha z tyłu zielone pud ło, woła tak ciepło: wiooo, wiooo, — lub też przejeżdża ręką po sierści.

Raz się Maniek na niego roz złościł i poraz pierwszy, zaciąg nawszy go w jakąś spokojną uliczkę, bił batem po łbie, po no gach, po brzuchu, nie zważał gdzie. A bił go nietylko za por wane lejce, a za to, że będzie musiał się z nim pożegnać, na zawsze pożegnać, bo on teraz płuje krwią, krwią, słyszysz Maćku?

To było jego rozstanie z Mać kiem. Później nieraz do stajni przychodził, otulony w futro sta rego palta ojca, i wtedy płakał, płakał, a Maciek rżał.

— Teraz, gdy umrę, będzie nim jeździł Zdzicho, — rozmyśla Maniek.

Zdzicho ma tak, jak ojciec, gruby kark i długie ręce. Te długie ręce będą później utrzy mywały rodzinę.

I nagle Mańka ogarnia wzru szenie. Pragnąłby teraz ująć Zdzicha i całując, szepnąć mu do ucha, jak ma się z Maćkiem obchodzić. Lecz jest noc i Zdzi cho leży daleko, a Maniek nie ma sił się podnieść. Maniek płacze; szłocha cicho i gryzie swemi bia łymi zębami białą poduszkę.

Pokój oddycha ciszą nocy. Znowu slychać zgrzyt otwiera nej bramy, robi się na chwilę dzień, i Maniek widzi przez sekundę piękne, strzeliste nogi pa ni z pierwszego piętra. Nogi w jedwabnych pończochach. Jed wabne pończochy? Joanna — garbuska miała jedwabne poń czochy... ze strzałkami — pamię ta. O jedwabną pończochę rów nież Kiełbasińskim poszło. O poń czochę, którą głupi Janek Cygan zwał z okna Kiełbasińskiej. O tę pończochę najpierw Kiełbasa pobit się z Jankiem, później zaś stara Kiełbasińska z Cyganową, aż nakoniec stary Kiełbasa zaprzy siągnął zemstę. Głupi Cygan zwał jedną pończochę i co mógł właściwie z nią zrobić?

Stary Kiełbasa dotrzymał sło wa. W sobotę, po wypłacie po szedł do Kopcja na flachę i gdy się uchlął, poszedł lać starego Cygana. W bramie spotkał go

Maniek. Zaczepił:

— Ej, panie Kiełbasiński, gdzie to pan tak pędzi?

Kiełbasiński, zataczając się:

— Chodź, synku, idziem bić Cygana. To złodziej, psia jego mać.

— Daj pan spokój, to ten ma ły szczeniak zrobił, Janek, a to jeszcze smarkacz.

Kiełbasiński tylko zamruczał pod nosem. Maniek dalej tłumaczył. Kiełbasa rozzłościł się. Warknął coś, i przechodząc ko ło Mańka, pchnął go. Maniek upadł. To wystarczyło, aby i tak ledwo chodzący Maniek położył się do łóżka.

I oto teraz leży, i patrzy na uśmiech księżycy. Możeby jesz cze pożył, gdyby nie pończocha? Maniek stara się nie myśleć. Rozłożywszy się wygodnie na wznak patrzy się w niebo, bez graniczne morze granatu.

Budynki zaszyte w mrok, tu łąc się jedne do drugich, drze mią. Maniek stara się usnąć i lęka się, — czy aby nie nazaw sze?

Z niedokreconego kranu mono tonnie kapia krople wody. Ma niek czuje, że coraz to trudniej mu nawet już łykać powietrze. W skroniach straszny szum, a serce coraz wolniej bije. Przy myka powieki. Powoli wraz z zni kającym księżycem zasypia.

Jest cicho, przeraźliwie cicho, a lampa nad ubikacją mruga sen nie. Swita.

W kilka dni później rozlepio no na białym murze naszego do mu czarne ogłoszenie; że niby... „umarł“... „miał lat siedemnaś cie“... i nazywał się Maniek Kruszyna. Rodzice?... Matka — drob na, słaba kobieta — jeszcze bar dziej zmalala, stała się jeszcze drobniejszą, uschła z rozpacz y. A on, ojciec — wielki, potężny — zgarbił się pod ciężarem bó lu. Ludzie zaś stali przed ogło szeniem i dziwili się, że taki młody, a zmarł.

Wieczorem szli za karawanem wszyscy: Bambura, Cygan, Kieł basiński — wszyscy. A dzwony kościelne grały smutnie. Wszy scy płakali. Tylko Zdzicho splu nał w dłoń i pomyślał: trza pra cować.

### LOTNICY

Warkot motoru, głos jęczący śmigła —  
Smukły kadłub chmur y przesywa, jak igła.  
Nie gnioła pasy mocne wokół ciała,  
Upaja szybkość. Ptak leci, jak strzala.  
Młoda głowa w lotniczym kasku  
Nad kierownicą w słonecznym blasku.  
Akrobacja powietrzna: skręt nagły,  
Półkole, wiraż, na plecach  
Płynię — znów wspaniała świeca..

O, zdobywcy światowych rekordów,  
Bohaterscy niebu akrobaci.  
Czy w godzinie pożogi i mordów  
Bomby rzucić będziecie na braci?  
Burzyć miasta spokojnych mieszkańców,  
A w nocy, oświetleni reflektorem wrogim  
Wśród dzikich z wrogiem taitców - łamańców  
Ległszy — jak potem staniecie przed Bogiem?

### Dlaczego takie smutne są odjazdy?

W modnych tangach i fox-trotach  
Słowo „żegnaj“ z „kochani“ się przeplata.  
Może „żegnaj“ ma inne znaczenie?

Kiedy afrykańskie niebo jest tak blade,  
Jak w najsmutniejszych powieściach Konrada,  
Biały bóg w takt czarnych nóg  
Posuwa się na czele karawany,  
Może myślać o ostatnim pożegnaniu  
Gdzieś w dalekiem i małym miasteczku?

A gdy na rozpalonych do białości skalach  
Złocisty lew obejrzy martwe ciało,  
Weszać nieznaną zapach nieznanego, —  
Może w jakimś dalekiem miasteczku  
Matka list pisać będzie — do zmarłego?



# PIÓREM TRZYNASTOLATKA

## Myśli

już późna godzina. Leżę w łóżku, ale zasnąć nie mogę. Nie mam żadnych poważniejszych zmartwień, — poprostu myśli spać mi nie dają.

Czem ja właściwie jestem? Takie głupie pytanie, nad którym inni nie zastanawialiby się wcale i które doniedawna jeszcze nie przychodziło mi do głowy. Przecież wiem, że nie jestem lawką, ani kotem, tylko człowiekiem. A jednak... Nie o to mi chodzi.

Czem jest dusza? Czy to są myśli najczystsze, które uszlachetniają człowieka, czy też marzenia? Pytałam się o to ludzie starszych. Odpowiedzieli:

— Dusza, to najszlachetniejsza część człowieka.

Nie wystarczy mi to. Przymykam oczy. Zastanawiam się nad tem głęboko, staram się sama sobie wytłumaczyć. Naprawdę.

Jestem bardzo zmęczona. Wszystko mać mi się w głowie i układa w fantastyczne obrazy.

Widzę Nil. Nad jego wodami wznosi się świątynia. Kozłanki w białych szatach wykonują rytmiczny taniec nad świętym og-

niem. Rozlega się monotonna, tęskna melodia.

Ile razy myślę o czemś, ile razy chcę przeniknąć jakąś tajemnicę, widzę Egipt, majestatyczny i tajemniczy. Pociąga mnie nieprzemyślany urok tego kraju. Kocham piramidy i sfinksy. Nil, rozlewający się szeroko i kapłanki, pilnujące ognia.

Bim, bam... Stary zegar, wybił godzinę dwunastą. Odmierzył odcinek czasu.

Czem jest czas? Czy zaczął się pewnego razu, czy się skończył kiedyś?

Czy po śmierci człowiek coś czuje? Czem jest śmierć? Co to jest: wszechświat?

Pytania te nie zrodziły się dzisiaj, ani wczoraj. Nurtują mnie od chwili, kiedy zaczęłam się zastanawiać i rozumieć to, czego przedtem nie rozumiałam.

Myśli, a raczej obrazy stają się coraz bardziej zamglone... Wody Nilu leniwie przelewały się nad moją głową, tęskna melodia rozlega się coraz ciszej... Obrzydliwi posąg rośnie. Posąg Slinksa czy Prawdy? A może Prawda jest Slinksem?

Ina z Solnej.

## Zamarznięta szyba

Wielką mam przyjemność, patrząc zimą na szybę okienną. Zdałoby się — głupstwo, zwykła zamarznięta szyba. A jednak ileż przyjemności sprawia ona, gdy w długie zimowe wieczory i poranki wyobrażam sobie te sylwetki, jako ludzi spieszących. Dokąd? Napewno do pobliskiego lasu. Oto przecież są drzewa. Tam dalej — ta cła srebrzysta plama — to jezioro Narocz.

Na sąsiedniej ćwiartce szyby widzę znów plamę. Na niej — mknące czółenka. Ten pas za czółenkiem to rozchodzące się smugi wody, a z boku widać wiosła. Kto kieruje, kto siedzi w łodzi — tego jeszcze nie wiem.

Dalej wysokie góry i niskie pagórki — wszystko białe. To

chyba Tatry zimą. Widzę przecięź mnóstwo dzieci, zjeżdżających na nartach.

A tu znów rozpościera się równina, na której bieleje mały punkcik w kształcie żagla. Może to okręt na Atlantyku? Może teraz właśnie jedzie taki okręt i dąży... Napewno dąży do Nowego Jorku! Tu już widoczne są ogromne gmachy, a wszystkie są tak wysokie, aż do końca mojego okna.

Obrazy na oknie zmieniają się prawie codziennie, zależnie od pogody. Nigdy mi się nie sprzykrzy przypatrywać zamarzniętej szybie, na której artysta — mróz maluje to, o czem marzę.

Luba z Wilna.

## W drodze do szkoły

Idę codziennie drogą jedną, o tej samej godzinie i porze dnia.

Czuję się codziennie tą samą pokraką, jak wczorajszego poranka.

Nie idę, lecz pędzę na złamanie karku, na łeb, na szyję przez ciasne ulice, przez obrzydłe aleje śmierdzącego parku, przez wstrętne zaułki i brudne bocznice.

Przez Pasaż Simonsa przejść mi wypada, gdzie Mirtasowej mieści się szkoła.

Z okna wygiąda dziewczyn gromada i nagłe słyszę: głos czyjś mmiewoła!

Zły jestem (no i zmieszany) na te dziewczęce podłe kawały.

Zaciskam wargi i gniewem zalany klnę na siebie, że jestem nieśmiały.

I wydostawszy się z piekła uwag i miniek, i ochłonawszy z żaru rumieńca, oddalam się szybko od wstrętnych dziewczynek tą drogą codzienną szkolnego, jak wy, jeńca.

Saul.

## Na ślizgawce

Przyszły do mnie koleżanki: Bela, Lola i Mirka.

— Idziemy na ślizgawkę. Czy pójdziesz z nami?

— Naturalnie. Już idziecie?

— Tak.

— Dokąd?

— Na przystań.

— Dziękuję. Na przystań nie pójdę, — odpowiada Lola, — Na przystańi „szkocy” zaczepiają bezczelnie.

— Kłamiesz bezczelnie! — obruszyła się Mirka. — Wcale nie

zaczepiają. Na przystańi można ślizgać się bezpłatnie, dlatego tam idę.

— Nie dlatego idziesz, że możesz wejść bezpłatnie, ale dlatego, że tam są „szkocy”. Właśnie — pragniesz, żeby cię zaczepiali.

Widząc, że się zanosi na kłótnię, Bela doradziła głosowanie. Poszliśmy na Traugutta, bo tak postanowiła większość.

Przy kasie, kupując bilety, Lola szepnęła mi:

— Jeżeli Mirka włoży sama łyżwy i sama będzie jeździła, to stanie się cud.

Rzeczywiście, Lola miała rację. Obejrzałam się i zobaczyłam — Mirka siedzi na ławce, a przed nią kleczy jakiś uczeń, wkładając łyżwy.

Pierwsza z szatni wybiegła Mirka ze swoim kawalerem. Słyszy się śmiechy z nimi rozmowę:

— Który rok koleżanka jeździ?

— Drugi. A kolega?

— Już trzeci. Kto są te trzy, które przyszyły z koleżanką?

— Znajome.

— A może koleżanki?

— Nie. — kłamię Mirka.

— Wstydzi się nas, — mówi Bela. — Poczekaj, poprosisz ty mnie, żebyś nauczyła cię robić pistolety. Figa cię nauczy — nie ja!

Lola rozgniewała się na Belę. Nie warto gniewać się na Mirkę: już się taka urodziła. Jedźmy lepiej za nimi.

— Która najbardziej podoba się koleżdze?

— Ta brunetka w granatowych spodniach. Ładnie jeździ.

## Spacer

Ciężko mi na duszy. Wycho-dzę na ulicę.

Główną ulicą mknie auto. Dorożkarz przytrzymuje spłoszonego konia. Policjant spisuje protokół za brak praw jazdy. Gromadzą się ciekawscy.

Zatrzymują mnie reklamy przed kolekturą Loterii Państwowej.

„Najszcześniejsza kolektura...”

„U nas padło 10.000.”

„Kup los — zdobędziesz majątek”.

Do kantoru wchodzi żebrak. On nie kupi losu. Jego los stale przegrany. Jeśli dadzą parę groszy — to będzie jego wygrana.

Obok księgarni przystanął chłopiec z teczką i wybaluszonemi oczyma spogląda na wspaniałe książki. Kto teraz może kupować takie cuda?

Idę dalej i myślę: ulica, to prawdziwa wieża Babel. Same kontrasty. Fura chłopska obok motocyklu, chłop w podartej siermiedze z batem pod pachą wymija panią w futrze i dalej pędzi swoje stado baranów do rzeźni.

Tłum gapiów stoi przed ogłoszeniem. Już jutro otwarty tu zostanie wielki sklep słodczy. Ludzie cieszą się: spoczątku każdy

## Manje uczniowskie

Niemna człowieka, któryby nigdy nie chorował na żadną manję, jak zbieranie marek, angłasów i t. p. Nasza klasa chorowała już na pisywanie w albumach, zbieranie fotografii, wierzenie w przesady i wroźby.

Gdyby któryś z was wziął album ucznicy naszej klasy, ujrzałby tam wpisane w najrozmaitszych kierunkach wiersze w stylu:

„Niech Ci życie słodko płynie, jak choremu po ryecynie”.  
Jeżeli ktoś był bardzo rozmiłowany w historii, pisał:

Co to za jedna?  
— Bela R., mistrzyni Pińska w jeździe figurowej.

Napewno będzie chciał, — myślę sobie, — poznać Belę, a więc i nas. Wlejmy lepiej póki czas. Wzięliśmy się za ręce i odjechaliśmy. W tej chwili jednak usłyszałyśmy wołanie. Odwróciwszy się, ujrzałyśmy Dorkę. Wzięłyśmy się wższytkie za ręce i zrobiliśmy „wężyka”, wywróciwszy parę osób. Dostałyśmy za to burę od kontrolera, i zawstydzona, usiadłyśmy na ławce.

Podeszły do nas dwie uczennice gimnazjum państwowego i poprosiły Belę, aby pokazała swoją jazdę. Bela naturalnie broniła się, jak zwykle, mówiąc, że niema na co patrzeć, jeździ, jak inni, ale wkońcu musiała ustąpić.

Rozpedziła się Bela, robiła pistolety, holendry, przemienianki, różne nawiasy, esy - floresy kreśliła na gładkiej taflę lodu.

Dosyć już, Belaś, wszyscy na ciebie patrz! — krzyknęła Dorka.

Bela obejrzała się i struchlała: wszystkie oczy były zwrócone na nią.

Mało tego. Podbiega do Beli kolega Mirki i woła:

— Brawo, koleżanko, brawo! Mirka zrozpaczoną wro-

kien obejmując swego partnera i koleżankę, której w tej chwili szczerze nienawidzi.

Bela, nie chcąc jej sprawić przewrości, robi w tył zwrot i odjeżdża. Sztubak za nią.

— Do szatni! — komenderuje Bela. — Czas już do domu.

Manię z Pińska.

a ile razy jedząc zrazy, trafisz na cebulę, tyle razy bez obawy wspomnij o mnie czule”.

O wierszach tego rodzaju, jak „Snij wieku młody, wieku niewinny”, mówić nie będę, gdyż każdy je zna.

Tę manję uważam za dość przyjemną, gdyż pisywało się przeważnie na nudnych lekcjach.

Kiedy ta minęła, nastąpiła manja nowa. Większość klasy uznała, iż należy: po pierwsze, ujrzyć 99 koni białych (w kinie, na defiladzie nie liczyło się), po drugie trzech kominiarzy z miotłami, a pierwszego chłopiec, któremu potem podasz rękę, jest twój przyszły mąż.

Na lekcjach, kiedy okna były otwarte, z różnych ławek padały tajemnicze liczby, 12, 96, 32, czterdzieści i cztery.

— Drugie, w co nasza klasa uwierzyła, było prawo dziewięciu gwiazd.

Przepis: liczyć 9 dni po 9 gwiazd, a kto ci się w nocy przyśni, ten cię pokocha.

Wierzone, że jak śwędzi łewko, to będziesz się śmiała, a jak prawe — będziesz płakała. W garbatego wierzone także. Widząc go, należało uderzyć się 4 razy w prawe kolano.

Pozatem wierzone w czarnego kota. Dostało nawet do tego, że jedna koleżanka, spóźniwszy się o pół godziny do szkoły, tłumaczyła się tem, iż ujrzała czarnego kota, musiała zawrócić do domu i pójść inną drogą.

Wkońcu znalazły się dwie ewanigelki, które podjęły się przepowiadania przyszłości za „jedne tylko 5 groszy” gotówką „na dożywianie”. Jak wrożyły, w to nie wchodzi, ale fakt, że miały prawdziwe „dożywianie” w szkolnym bufecie, a klasa musiała patrzeć, jak się opychały czekoladkami i wafkami na rachunek ciemnej przyszłości koleżanek.

Tak się skończyła ostatnia manja. Co nam teraz los przyniesie?

Biba z Radomia.

## Ulica nędzy

Taka ulica nie posiada nazwy. To może być Karolkowa, i Gliniana, i Lucka, i Burakowska. To może być ulica ożywiona i ulica głucha. Wiadomo tylko, że to jest ulica nędzy.

Ona nie ma określonego charakteru, ale poznać ją po jej mieszkańcach.

Ci już są znieczuleni życiem, jak wódka, jak trucizna, którą się jest zmuszonym wypić.

Tam nikt nie znajdzie oddźwięku aktualii, bo mieszkańcy nie czytują gazet. Tam nikt nie jest wciągnięty w bagno polityki, bo tam jest zbyt dużo własnych bagien.

Ale na gruncie pokory, nieczułości, żalu i przybiecia wykwiła nienawiść. Celem tych ludzi jest już nie życie, ale trwanie przy życiu.

— Aby żyć.  
Mieszkaniec podobnej ulicy, jak człowiek pierwotny, musi waleczyć siłą i sprytem zdobywać je jedzenie.

Dlatego ludzie stamtąd mają twarze wchudłe, zapadłe, dlatego chodzą zgarbieni, jakby pod ciężarem życia; dlatego ich dzieci nie mają dzieciństwa.

Czego chcą ci ludzie? Chcą tylko prawa do życia.

Oficjalnie mają je, ale w rzeczywistości...

Ludwik Dal.



# Transmisja meczu „Grypa” - „Pomarańcz”

Hallo Hallo! Mówi Otwock i wszystkie rozgłosnie „Małego Przeglądu”.

Za chwilę rozpocznie się sensacyjny mecz pomiędzy drużyną „Grypy” a „Pomarańczą”. Do zawodów mniejszych zapisało się 25.000 mieszkańców Otwocka z handlarzami pomarańczy na czele oraz z lekarzami, oskarżającymi pomarańcze o rozpowszechnienie grypy.

W drużynie „Grypy” bierze udział reprezentacja uczniowska wszystkich szkół, szereg sędziów z panem Kuratorem na czele.

Do drużyny „Pomarańczy” zapisał się cały Otwock wraz z uczniami klasy V-ej gimnazjum Nr. 174. Wszyscy zawodnicy ubrani są w pomarańczowe koszulki, w ręku zaś trzymają gumki i zapasy skórek.

Wśród gości widzimy trupę teatru „Wesołego Wieczoru” z Poznańskiej Wystawy Krajowej, która to trupa zamieszkała w salonach recepcyjnych cukierni Łopato, wystąpiła z inauguracyjnym przedstawieniem p. t. „Coś dla każdego”. W skład tej trupy wchodzi genialna liliputerka z rodziną Czarskich na czele. Dalej wśród gości znajdujemy Konrada Veidta, który wynajął obszerne pokój w kinie „Oaza”, incognito, jako rosjanin „Rasputin”.

Uwaga! Sędziowie dają znak. W tejże chwili centrum, t. zn. organizacja sjonistyczna Haszomer Hacair rozpoczyna ostry atak zbiórkowy, który prowadzi

delegat komendy warszawskiej. Rozlegają się okrzyki: — Precz z pomarańczami! Wrzućmy lepiej pieniądze do puszeki Keren Kajemeth Leisrael! Zawodnicy Haszomer Hacair zdobywają bramkę, zgarniając z kasy K. K. L. 180 złotych międziakami, wydartymi pomarańczarzom.

Hallo! Niebyswałe napięcie! Publiczność zrywa się z miejsc. Groźna sytuacja przy bramce „Grypy”, t. zn. w pobliżu Meranu, który zrobił plajtę. Na górze został tylko profesor języka polskiego w niebieskich petkach. Wszyscy zawodnicy pobiegli na konkurencyjną górę przy nasypaniu kolejowym. Cała gra tam się przenosi.

Chwileczkę... Brak mi słów po tępieniu. Bójka! Zawodnik „Grypy” wsadził nóż zawodnikowi „Pomarańczy”. Policja interwenjuje.

Zajście zostało zlikwidowane. Gra toczy się w zwykłym tempie. Żadna z drużyn nie wykazuje przewagi. Ale... ale... Cały tłum nagle pobiegł w stronę bramy gimnazjum Nr. 174, gdzie odbywa się zabawa taneczna Bratniej Pomocy. Orkiestra gra. Pomarańcze znikają z bufetu, pomarańcze sypią się na scenę, jak kwiaty, w dowód wdzięczności artystom tej miary, co kol. Blaufuks, występujący w podwójnej roli Tońcia i Szczepcia, oraz Ordorówna w osobie Hanka Dretwiczówny.

„Pomarańcz” zwycięża. Pod

naporem sztabackiej werwy i zaćmności drużyna „Grypy” schodzi z boiska. Słychać zgrzyt zębów miejscowych lekarzy.

Zawodnicy tańczą już oberka. Ale oto jeden poczuł się niedobrze, drugi... „Grypa” atakuje! Wielu zawodników z reprezentacji szkolnej leży w łózkach.

Jeśli „Pomarańcz” nie zdobędzie punktu w ciągu 24 godzin — przegra mecz.

„Pomarańcz” wysłał na pole bitwy ostatnich zawodników z klubu sportowego „Nordija”. Klub ten natychmiast zakłada sekcję bokserską pod kier. trenera warszawskiej „Makabi”. Znikają blade twarze grypowców. Wielu zawodników porzuca drużynę „Grypy”, by prosto z łóżka postawić pierwszy krok bokserski bodaj przeciw własnej siostrze. Zapal ogarnia młodzież. Bębnią pięści, omotane ręcznikami. Zaostrza się apetyt, zwiększa się konsumpcja pomarańczy.

Za chwilę sędzia ogłosi porażkę „Grypy”. Ale... Straszny cios! Jak podcięty, pada czołowy zawodnik „Pomarańczy”. Publiczność zrywa się z miejsc na wieść, że nowy nasz burmistrz O. Salomonowicz z rodziną ciężko zapadł na grypę.

Siedem dni pomarańczowania. Siedem dni grypowania. Wynik remisowy 7:7.

Szlamek z Otwocka (V kl.).

# Wyniki konkursu

Na konkurs nadesłaano 92 prace, w tej liczbie na temat „Dzień według własnej woli” — 41, o powiadań z życia — 42 i humoresk na temat „Kropka” — 9. „DZIEŃ WEDŁUG WŁASNEJ WOLI”.

Pierwszą nagrodę — 25 zł. przyznano za pracę p. t. „Tam, gdzie były Teby”. Autorka: Ina Ostryńska, 13 lat, Warszawa.

Drugą nagrodę w sumie 15 zł. otrzymuje Cilla Mandelbaumówna (12 lat, Warszawa) za pracę p. t. „Na kolonji szmrowej”.

OPOWIADANIE „Z ŻYCIA”. I nagroda — 25 zł. — S. D. z Łodzi (15 lat) za „Życiorys”.

II nagroda — 15 zł. Dorka z Zamościa (16 lat) za opowiadanie p. t. „Tojbe Ruchcia”.

HUMORESKA. Nagrody nikt nie zdobył. Autorzy, których prace zastępują na wyróżnienie: Mira Bajnerówna (12 l. — Zawiercie),

Alfred Goldstein (12 l. — Paryż), Marek Nojar (12 l. — Warszawa), Gustaw Redekman (12 l. — Warszawa), Salek Rabinowicz (13 l. — Warszawa), Gustaw Wójcikiewicz (13 l. — Warszawa), I. F. (13 l. — Warszawa), Dawid Litman (14 l. — Kolo nad Wartą), May (14 l. — Warszawa), I. O. (14 l. — Warszawa), Fela Wajcenberzanka (15 l. — Będzin),

Enge (15 l. — Warszawa), A. R. (16 l. — Częstochowa), Silna przewaga grupy „średniej” (12—13 lat.) Poraz pierwszy dziewczęta zdobywają wszystkie nagrody.

W następnym numerze Mały Przegląd rozpocznie druk prac nagrodzonych i wyróżnionych.

# 19 poczta

Najlepsze prace ostatniego tygodnia (do dn. 15. II): „Kartoteka sądu dla nieletnich” i „Maniek Kruszyna umiera”.

Rękopisy nadające się do druku: korespondencja z Radomia Biby, „Totalizator” Kuby H., „Norwegia” Beli z Wilna, „Chłopcy wobec kwestji równouprawnienia kobiet” Lenki z Częstochowy, „Zawody łyżwiarskie w Otwocku” Szlamka „Dziewczyna” Rity; listy — Dianki z Sapieżyńskiej, Soni z Muranowskiej, Feli z Będzina, Es - Zet z Będzina, Beli z Solnej, Rózi z Pawiej, Reni z Włocławka. — Artykuły: Meira i Samuela o Majmonidesie przejrane będą 6-go marca.

ODPOWIEDZI: Alinie. — Pracę tą warto opisać. — Wskazówki koleżanka może otrzymać w redakcji (niedziela, godz. 4).

Cesi. — Dziękujemy za szczera i rzeczową krytykę. Losi z Tel - Awiwu. — Prosimy o dłuższą korespondencję z Palestyny.

Jakobowi E. z Wilna. — Wiersze słabe. W sprawie współpracy porozumieć się możesz z korespondentką odpowiedzialną na m. Wilno: Bela Kinkulkinówna, Wielka Pohulanka 17, m. 6, nie-

działa, godz. 3—4. Stanisławowi W. — Właśnie w tej sprawie byłes proszony do redakcji. Otrzymałbyś odpowiedź, gdybyś przyszedł w niedzielę, 10-go lutego.

Terminy nadsyłania materiału: wzmianki pilne do następnego numeru — niedziela, dn. 24. II; do numeru purymuwego — piątek, 1-go marca; „Majmonides” — wtorek, 5-go marca;

do numerów wiosennych — najpóźniej w poniedziałek, 15-go marca; do numerów letnich — przed 1-ym kwietniem.

Poraz pierwszy do Małego Przeglądu napisali:

Alpert B. — Eisenberg N. — Fajerman Salus. — Frajdenrajch Fajwel. — Gertzówna Basia. — Goldberg Symek. — Graff Rejginka. — Jabłonowicz Szmul. — Kupfer Renia. — Lichtszajn Niszia. — Lubelski Jozek. — Muentz Kalman. — Obligenharc L. — Pinesówna Alinka. — Stendówna Genia. — Wołkowicz Basia.

Listów otrzymałmy z Warszawy 62, z prowincji 41, z zagranicy 2, razem — 105.

# Audycje muzyczne dla młodzieży szkół średnich

Koncert, zapowiedziany na godzinę 4-tą, wzbudził tak wielkie zainteresowanie młodzieży, że jeszcze kwadrans przed rozpoczęciem programu na sali było pełnienie. Chwilę oczekiwania wypełnia się rozmową. Dochodzące nas urywki zdań świadczą, że naogół inicjatywa profesorów, M. Centnerszvera i L. Wejnara, podjęta w celu wykonania zleconego przez Kuratorjum planu umuzykalnienia uczniów i uczennic szkół średnich, została przyjęta przez młodzież z dużą życzliwością i zrozumieniem.

Dzwonek. Tłok w pierwszych rzędach. Podniecenie. Naraz cięsa.

Pan Maksymilian Centnerszwer ze swoją hiszpańską bródką zjawia się na estradzie i zażenowanym ukłonem odpowiada na huczne oklaski publiczności. Słós kartek wędruje z jego kieszeni do dłoni.

— Trio fortepianowe Haydna, — oświadcza nam i przystępuje do omówienia tego utworu.

Po dokonanej z powodzeniem misji, cofa się wstąb przy akompaniamencie siarczystych oklasków. Następną porcję oklasków otrzymuje zaskoczony woźny, który miespodzianie ukazał się na estradzie. Może i nie chybił. Przecież i jemu należy się okruszyna uznania. Wreszcie ukazuje się trio. Witamy, witamy!

Pan Fiszhaut zasiada poważnie do fortepianu, pan Ginzburg ujmuję skrzypce, a pan Weiner przejeżdża smyczkiem po wiolonczeli.

Wśród absolutnej ciszy rozlegają się rytmiczne dźwięki „Andante”, a za nim „Poco adagio” spieszy równym tempem, w końcu „Rondo all ongarese”.

Krótką przerwę, po której melodyjna i pełna żaru „Arja” Bacha, „Menuet” W. A. Mozarta „Sicilienne et Rigodon” Fr. Fraucœur aż chrwytaią za serce.

Po śpiewie pana Elmana, który swoim czystym, silnym basem wywołuje szczery zachwyt, długo i siarczycie wałą nasze dłonie.

W programie „Mój dom”, „Nad morzem” Schuberta oraz Schumana „Dwaj grenadjerzy” i „Kwiat kotosu”. — Chętnie znów posłuchamy p. Elmana.

Natomiast istny huragan oklasków spotyka chór Z. T. M., który pod batutą naszego kochanego profesora L. Wejnara i przy akompaniamencie jego żony święci prawdziwy triumf. Artyzm i praca cechuje wykonanie. Porwani nastrojem waliliśmy bez przerwy. Bis, bis!

Pan Weiner daje się uprosić i chór odśpiewuje jeszcze jedną piosenkę p. t. „Zęgluga”. Jest to fragment z „Sonetów krymskich” Mickiewicza, a muzyka Moniuszki.

Znowu rozlegają się okrzyki: bis, bis! Tym razem jednak bez skutku.

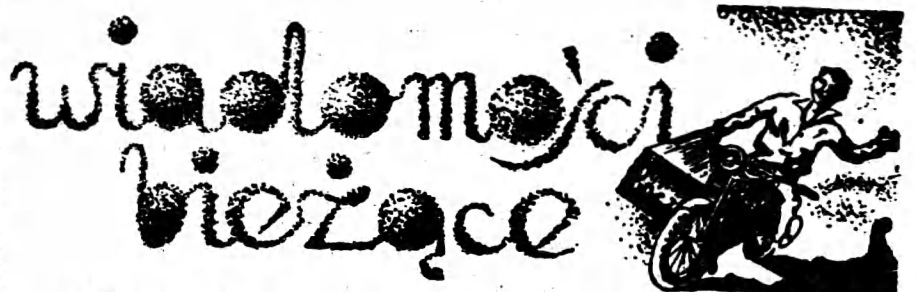
— Nie można. Musimy opróżnić salę. Następný koncert w toku.

— Program! Jaki będzie program?

— Szukujemy niespodziankę: koncert „Dzieci dla dzieci”. Program: „Kwiecień” Czajkowskiego, walc Zarebskiego, „Preludjum” Szopena, „Krakowiak” Paderewskiego, — odegra na fortepianie Donia Mińkiewicz. — Walc „Kaprys” Wieniawskiego, melodie Głucka i „Polonez” Wieniawskiego, — odegra Josi Chasyd. — Walc Szopena „Lubędzia” Saint-Saensa, „Tarantellę” Schuberta i „Lalka” z baletu Delibesa „Coppellia” — odtańczy Donia Mińkiewicz. — Następnie cykił pieśni Maszyńskiego i Mayznera odśpiewa chór szkoły powszechnej Nr. 84 pod kier. pani Kamińskiej Gurdusowej. Część zespołu dziecięcego wykona „Dziada i babę” Moniuszki w inscenizacji tej samej pani. — Pogadankę prowadzić będzie pani S. Pfaówna.

W ostatniej chwili dowiedziałam się, że koncert ten odbędzie się w Konserwatorium, w niedzielę 24-go lutego o g. 4. Biulet, jak zwykle, w sekretarjatch szkół, ewentualnie przy kasie przed audycją w Konserwatorium.

Lilka H.



— C. Z. Z. F. w Paryżu ogłasza konkurs dla młodzieży szkolnej od 14 do 18 lat.

I temat: „Jakie myśli nasuwają nam kraje, cierpiące spowodu nadmiaru produktów wymienionych, których nie mogą zbyć?” — Należy podać praktyczne rozwiązanie tej kwestji.

II temat: „Jak nawiązać i utrzymać przyjaźń z przedstawicielami młodzieży któregoś z krajów sfederowanych”.

Termin nadsyłania prac upływa z dn. 25 marca r. b. — Do pracy należy dodać jeszcze życiorys.

— Oddział nauczycielski Ligi Morskiej i Kolonjalnej, celem uczczenia 15-lecia odzyskania dostępu do morza, zorganizował w jednej z sal Muzeum Narodowego (Al. 3-go Maja) wystawę morską. Na wystawie m. in. znajdują się prace uczniów szkół powszechnych i średnich (rysunki, modele łodzi, żaglowców, okrętów). — Wystawa będzie otwarta do 28 b. m.

— 23-go b. m. rozpoczną się już pierwsze „studniówki”: gimn. Z. Kaleckiej z gimn. Kryńskiego, gimn. Tow. Zjednoczenia Nauczycieli z gimn. „Spójnia”.

— W lokalu Zjednoczonego Komitetu dla walki z prześladowaniem żydów w Niemczech (Ul. Króla Alberta 8) mieści się obecnie wystawa obrazów artysty-malarza, uchodzący z Niemiec, J. Adlera. Wystawa otwarta jest od godz. 10-ej rano do 6-ej p. p. Wstęp bezpłatny.

— Organizacja młodzieży sjonistów-państwoców „Masada” urządza loterię fantową, której dochód przeznaczony będzie na rzecz biblioteki im. Ch. N. Białki. Cena biletu 25 groszy. Ciągnienie odbędzie się jutro, 23. 2.

o godz. 8.30 w lokalu „Menory” (Zabła 9).

— W sobotę, 23. 2. o godz. 3.30 teatry Polski i Letni urządzają ulgowe przedstawienia dla młodzieży. Polski wystawi „Dziady”, Letni komedię „Wicek i Wacek”.

— W niedzielę, 24. 2. o godz. 12-ej Teatr Kukiełek „Baj” wystawia w Konserwatorium komedię dla dzieci „O raku-nieboraku i pstrągu-dziwolagu”.

— Zarząd Towarzystwa Kolonij Letnich publicznych szkół powszechnych dla dzieci żydowskich daje jutro, w sobotę, 23. 2. o godz. 12.30 w teatrze „Młodocianego Widza” (Karowa 18) widowisko dla dzieci p. t. „Stas Lotnikiem”.

ZARTY.

URODA RZECZY MARTWYCH. Mały Jaś zobaczył w szklance z wodą sztuczne zęby babci — obie szczęki.

— Babciu — woła — babciu! Ze szklanki coś się śmieje...

MECHANIKA.

— Jak idzie ten zegarek, który dostałeś w prezencie?

— Nadzwyczajnie. Robi godzinę w 45 minut.



Powieść „Małego Przegłodni”  
przedhrubka wzbrowniony

ADAM M. MAZUREK

# ROSNĄ LUDZIE...

## Część pierwsza: D O M

Hez radości sprawiły skrzypce! Własne skrzypce, błyszczące! Takie leciutkie, takie kochane! Okazało się, że Marek ma świetny siuch. Nauczyciel muzyki, pan B. jest z niego bardzo zadowolony. Powiada, że wyprze dzi szybko w grze Pawła. Tak, chłop ma talent, a mama zawsze myślała, że Marek jest gapa i że niewiele z niego będzie.

Najśmieszniejszy był Zdzicho. Dostał małe skrzypce, błyszczące pachnące i nijak nie mógł zrozumieć w pierwszych dniach, że są one prawdziwe, najprawdziwsze w świecie. Myślał, że to taka sobie zabawka, jak te małe czerwone skrzypce z dytki, co to tylko żałosnie piszczały. Już dwukrotnie miał takie. O, przedko kończyły one swój żywot doczesny, bo Zdzicho był zawsze ciekaw, co tam jest w środku i dlaczego grają...

Tylko z Marysią był małeńki kłopot. No — dziewczynka niby powinna grać na fortepianie. Nie ma na to pisanego prawa, ale tak już jest. A skąd tu fortepian wytrzasnąć? Nielada to przecież koszt! Marysia jest niegłupia i odrazu zrozumiała, że z gry na fortepianie nic nie będzie i że lepiej dać temu spokój, kiedy ma ma w koleżeńskim rozmowie na otomanie przedstawiła jej sytuację materialną, czyli kłopoty pieniężne ojca. Tak, teraz jest więcej wydatków i tatusiowi jest bardzo trudno opędzić wszystkie z pobieranej pensji.

Marysia rozumie to. Nie jest wszak Markiem. Nie, ona nie chce utrudniać rodzicom życia. Obejdzie się bez muzyki, chociaż... choć bardzo by pragnęła. A że tatusiowi zależy, aby również grała na skrzypcach, uczyni to bardzo chętnie. Powiada tatus, że jak grać w czwórce — nazywa się to kwartet. Takie kwartety często występują na koncertach. Rychło więc patrzeć, a będą mieli własny kwartet, złożony z Marysi, Pawła, Marka i Zdzicha, który będzie z powodzeniem koncertował na podwórkach...

Idzie w domu rzępolenie i to takie, że „aż uszy puchną” — jak się żali drugi wicep. Nie dziwiła — czterech grajków, z których każdy stara się zagrać jaknajgłośniej. Bo im głośniej, tem... lepiej.

Coprawa — zapał Pawła i Zdzicha mocno przygasał po kilku tygodniach gry. E, bo kto tam ma tyle cierpliwości. Myśleli, że pograjają trochę i już można będzie „kawałki” wygrywać. A tu ćwicz i ćwicz i końca nie widać. Niewiadomo, czy nawet za rok potrafią. Naiwniacy!.. Sądziłi, że to harmonijka. Przyłożyć tylko do ust i już gra.

I razu pewnego jakoś tak się złożyło, że Paweł nie przygotował ćwiczenia. Pan B. zakomunikował to z obowiązku mamie. Mama — tatusiowi. Tatus zaś wziął sprawę na posiedzenie.

Nie, poco tu dużo gadać, rozmawiać się. Spen robić i namawiać do gry. Sprawa jest prosta. Nikogo nie zmusza się do skrzypiec. Kto nie chce, niech powie otwarcie i da spokój grze. Nauka w szkole jest obowiązkiem. Ale muzyka — nie.

I zamiast o muzyce, uciał sobie tatus opawedkę o bezrobotnych. Tytu ich teraz jest. Coraz trudniej znaleźć pracę. Coraz

trudniej wyżyć tylko umiejętnością czytania i pisanie, bo dziś prawie każdy to potrafi. Trzeba umieć trochę więcej. Między tymi, którzy pragną pracować jest wielkie współzawodnictwo. Bo jak chce kogoś przyjąć do pracy, wołają za tę samą płacę takiego, co umie więcej od innych. Zna, na przykład języki obce, bo to może mi się przydać. Osobnikowi, umięcemu więcej od innych, jest jednak łatwiej urządzić się. Ukończył szkołę i nie może dostać pracy w biurze, a umie grać na skrzypcach; ma więc widoki na uzyskanie pracy jako grajek, albo na udzielanie lekcji muzyki. W życiu zaś przydaje się wszystko. Tak, trzeba jaknajwięcej wiedzieć i umieć, choć można ze swej wiedzy nie korzystać. Na wszelki wypadek...

Marysia i Paweł dobrze zrozumieli tatusia. I postanowił sobie Paweł, że nie tylko sam zabierze się na fest do muzyki, lecz i Zdzicha przypilnuje.

Napraszają się różni koledzy Pawła do warsztatu. Takby chcieli również pracować.

Lecz niewiadomo, komu pozwolić, a komu nie. Ten dobry i ten dobry. Zaprosić zaś jednego, a innych nie — to się obraża. Już lepiej nikogo.

Jeli ci koledzy opowiadają „cud” o Pawle, o nowych porządkach, o samorządzie... Opowiadają i szczerze zazdroszczą. Matki słuchają i coraz częściej doradzają synkom, żeby się przyznili z Pawłem, przychodzili do niego, bo to... dobry i porządny chłopiec.

Cha—cha—cha... „Dobry” i „porządny” chłopiec. Od kiedy stał się Paweł tym porządnym chłopcem? Doniedawna wszak był... nicponiem, łobuzem najgorszym pod słońcem, takim, co z niego nic nie wyrosnie... Iluż przez niego plakało, miało podbite oczy lub porozbijane nosy?.. I przecież już tak nawet było, że jak synek nabroił coś w szkole, mama jego zwałała winę odrazu na Pawła. Zapewniała wychowawcę, że jej synek taki nie był, że był bardzo porządnym i wzorowym chłopcem, który dostał się pod zębne wpływy Pawła i popsuł się...

Tak, jeszcze doniedawna słyszał stale tę śpiewkę. A teraz nagle — porządny chłopiec, prawie najporządniejszy.

Myśli o tem Paweł i dumą go rozpięra, że mówią o nim w ten sposób. Pokazał tym mamusiom, co to zawsze wszystko zgóry i napewno wiedzą, że omyliły się bardzo. Trafiły palcem akurat w srodek nieba...

I myśli Paweł też o tem, że naprawdę poprawił się. Nie bije już w szkole, szyb nie tłucze. Jak by za kiwnięciem paleczki czarodziejskiej — odmienił się zupełnie. Paweł i nie Paweł Inny chłopiec.

Kiedy to się stało? Ciekawi to Pawła. Zastanawia się: kiedy po raz pierwszy przestał się bić. Głowi się, lecz nie z tego. Bo jak może sobie przypomnieć, kiedy przestał bić? Jak nie bił, to się przecież nie zdarzyło.

A jak się nie zdarzyło — nie można sobie tego oczywiście przypomnieć.

Mimo to — owa „porządność” nie daje mu spokoju. Myśli o

swojem zachowaniu w szkole na pauzach. Potrosze zaczyna już rozumieć. Rzeczywiście, takie to proste, a on nie wpadł na to odrazu. Dawniej na pauzach latał z kąta w kąt, jak warjat, ciskał się na wszystkie strony i miał dużo okazji, żeby uderzyć, przewrócić, szturchnąć. A teraz? Natychmiast po dzwonku zbierają się koło niego koledzy, którym opowiada, nad czem obecnie pracuje w warsztacie i jak to robi. Mówi też o swoich planach i o przyszłych wynalazkach. Koledzy słuchają, zazdrość pali im się w oczach, Paweł zaś podnieca się coraz bardziej własnym opowiadaniem i — powiedzmy prawdę — bajdurzeniem o wynalazkach. Potem zadają chłopcy pytania. Ten i ów gędzi o swoich próbach wynalazczych, chociaż nie ma warsztatu... A potem — rozmowa zwolna przechodzi na auta i samoloty. Gdyby tak móc zbudować samolot?..

Zapalają się iskry w ślepiach chłopców. Snują głośno swe marzenia i coraz częściej irytują ich piskliwy skowyt dzwonka, który przerywa im zawsze pogawędkę w najlepszym i najciekawszym miejscu...

Obecnie dopiero widzi Paweł, że tatus miał rację z tem czytaniem. Niedawno czytał o jednym, który sam zbudował łódkę i przepłynął w niej ocean. Mało kto tę książkę widział. Pawła stawiaka wbiła w dumę to, że koledzy tak chętnie słuchają i zasypują go pytaniami. Z tych pytań rodzi się ogólna rozmowa. Jeden zażartuje, a drugi powie coś mądrego. Wynalazki zaś i podróże wcale nie dają chłopcom spokoju.

Zauważył Paweł, że od pewnego czasu ustosunkowali się do niego koledzy, jakby to powiedzieć — no, z respektem... Paweł, to niebyłe kto! Paweł, to właściciel warsztatu. Paweł, to w przyszłości wynalazca! Wszyscy chcą się z nim przyjaźnić i — jak to mówią — podlizują mu się...

Tak, obecnie rozumie już, dlaczego stał się „porządnym” chłopcem. Nie ma poprostu czasu na rozbijanie się! Pochłonięty go rozmaite zainteresowania. Dawniej zaś miał dużo wolnego czasu, prawie żadnych zainteresowań... tłukł więc i psocił.

Paweł spoważniał we własnych oczach. W mowie stara się naśladować tatusia. Mówi wolno i uśmiecha się, siląc się przytem na dowcipy... Gdyby kto inny tak się zachowywał, wykpiłiby go chłopcy, powiedzieliby, że struga białną. Ale Pawła? Właściciela warsztatu, czytającego ciekawe książki, otrzymującego pensję tygodniową, najsilniejszego w klasie? No, no — niechby się znalazł taki śmiałek...

I spodobała się bardzo Pawłowi rola porządnego chłopca!

Mamusie kolegów zapraszają Pawła. Niech przyjdzie do Janka lub do Olka. I niech przyjaźni się z nimi. Mamusie bardzo sobie tego życzą.

Paweł wymawia się brakiem czasu. A pozatem denerwuje go to gadanie wymalowanych pań. Nieznosi wprost tego. Zawsze — niemądre i irytujące pytania: jak się miewa, co słychać i jak się uczy? Niewiadomo, co na to odpowiedzieć. Przytem — nigdy się nie zwróca do niego prosto,

szczerze, jak dorośli mówią między sobą. Nie. Udają zazwyczaj bardzo mądre i bardzo wyrozumiałe dla jego chłopięcego wieku. I uśmiech na twarzy jest też jakiś sztuczny. Rozmowa zaś jest taka, jakby miał dopiero trzy — cztery latka.

Paweł nieznoś takiego traktowania. I żaden z chłopców. A zwłaszcza oburza go to, że jedna i druga mamusia chce mu narzucić swego synka jako kolegę. Co „ona” tu ma do powiedzenia? Z kim zechce, kto mu się spodoba, z tym będzie się przyjaźnił. Każda mamusia myśli, że jej synek jest doskonały i nadzwyczajny. Tak, może w jej oczach... Ale dla Pawła taki był i będzie gajmądą! Do niczego... I co by to było gdyby owej mamusi usiło wał ktoś narzucić inną mamę jako koleżankę. Bardzoby się przecież rozżłościła...

Lecz różne mamusie tak dużo słyszą od swoich synków o Pawle, o jego warsztacie, o tem, że może pić wodę bez kontroli i o innych różnych dziwach — że nie dają za wygraną. Już one potrafią swego dopiąć i zmusić Pawła, żeby przyjaźnił się z ich synkiem... Nie mogłyby sobie tego nigdy darować, gdyby ich synalek nie kolegował z tak wartościowym chłopcem, jakim jest bezsprzecznie Paweł. A od czego telefon? Dzwonią więc do pierwszego wicepa. Przepraszają, że się osmieliły, nie znając osobiście mamy, lecz... I mówią dużo, bardzo dużo o tem, że słyszały, jakiego nadzwyczajnego syna mama posiada, Pawła niby, wieszają jej i t. d. Chłopcy ich, wracając z przyjęć sobotnich, opowiadają tyle pięknych rzeczy, że są poprostu zachwycone!

Pawła ponosi gniew, kiedy ma ma powtarza te rozmowy Antoniowej, słuchającej z rozdziawianą „katarynką”... Najbardziej zaś irytuje go to, że mama nie pozna je się na tych kawałach, jest rozradowana i ma kolorki. Naza-jutrz będzie już napewno dobra babka na podwieczorek... A przecież te panie naumyślnie „buja-ja” mamę...

W dodatku dokuczają mu pierwszy wicep pytaniami: dlaczego właśnie nie przyjaźni się z synkiem doktorowej M.? Czy wie przynajmniej, kto to jest doktorowa M.? Albo synek inżynierowej Z.? Jest niemądry i koniec! Powinien zaprosić ich do warsztatu. Mama życzy sobie tego.

Mama swoje a Paweł swoje. Nie, żeby na złość. Nie zaprosi, bo właśnie synek doktorowej M. jest skończony osioł i bardzo przykry w współżyciu (egoista, obraźliki). Któż tego nie wie? Nie, nie zaprosi!

Mamie jest przykro. Obiecała prawie doktorowej M. Zaprosiła więc sama jej synka.

No — tego było już zawiele dla cierpliwości Pawła!

Dopiero od dziś wisi w jadalni nowa tablica, wykonana przez chłopców w warsztacie. Niema jeszcze na niej ogłoszeń. Ale już będzie! Paweł wywiesił kartkę. Prosi prezesa o zwołanie nagłego posiedzenia w bardzo ważnej sprawie.

Co się stało?

Czepiają się Pawła Marek i Zdzicho i Marysia, i mama i nawet drugi wicep. A on zaciska zęby i nic. Nie powie przedtem. Od tego jest posiedzenie. Dowiedzą się.

Tego dnia poszło czytanie w ką!

Tatus jest również zaciekawiony. Poraz pierwszy zwołuje posiedzenie na prośbę młodszego członka samorządu.

Zadzwonił prezes i udzielił głosu Pawłowi. Prosimy i słuchamy! A Paweł zbladł! Serce tak w nim wali, że aż do gardła podskakuje

i mówić mu nie daje. Płacze się, nie to wypowiada, co chce. Słowa jakoś same wypływają z gardziółka i właściwie nie te, które sobie ułożył.

Tatus widzi dobrze jego denerwowanie. Jak dotychczas — mówi nawet nie bardzo do rzeczy. Ale to nic. Opanuje się za chwilę. Z dorosłymi czy inaczej bywa, zanim nabiorą wprawy w publicznem przemawianiu?

Paweł opanował się już. Wszyscy słuchają go uważnie. O, ciężkie zarzuty wytyacza przeciwko pierwszemu wicepowi. Oczywiście — każdy przyzna mu rację. Mama nie ma prawa narzucać mu kolegów. Śmieszne to nawet z jej strony... Ach... Zosiu, Zosienko... ma tatus w duchu żal do mamy.

A Paweł już rozgadał się. Dorośli nie rozumieją nas. Nasze sprawy, to tylko głupstwa. Na każdym kroku wytykają mi, że jestem dzieckiem. A dziecko, to prawie tak, jak piesek domowy. Pieska pieszcza i żartują z nim i ze mną w wielu domach mówią niepoważnie, jakim był jakimś dzikusiem lub conajmniej karłem. Mnie przecież bardzo gniewa, kiedy przemawiają do mnie żartobliwie i w ten sposób, jakim nie potrafił zrozumieć...

Skończył Paweł i usiadł bardzo blady. Zaległa cisza, którą przerwał prezes:

— Cieszę się bardzo, Pawełku, że wypowiedziałeś się dziś szczerze. Wierzę mi, że zrozumiałem cię dobrze i jestem ci wdzięczny za obnażenie przed nami twoich bolączek. Masz w wielu wypadkach rację, choć niezawsze. Nie raz przemawia przez ciebie przewrażliwienie i niesprawiedliwie sądzisz dorosłych. Dlatego wszak zorganizowaliśmy samorząd rodzinny, że ani ciebie ani innych nie uważam za „piesków”, jak się wyraziłeś niefortunnie. Nie, mam ciebie za człowieka, za małego człowieka. Dzieci — to mali ludzie, posiadający słabsze pięści, mniejsze nóżki, ale rozumiejące dobrze swoje sprawy, jak dorośli swoje. I tylko dlatego, że uważałem was za małych ludzi, nie bałem się mówić z wami otwarcie i szczerze, choć mama zarzucała mi, że stanicie się przez to bezczelnie nie można sobie będzie z wami poradzić... Nie, ja się tego nie bałem, gdyż wierzyłem, że dojdziemy do porozumienia. Bo z rozumnymi ludźmi można się zawsze porozumieć. A z małymi ludźmi częściej można dojść do porozumienia, niż z dorosłymi... Doprawdy.

Pauza. Głos tatusia drgnął podejrzanie. Odchrząknął więc mocno: — Nieprawda, mali ludzie, jak dotychczas — płynie nam życie nie najgorzej. Dziś jest w domu lepiej, niż było kilka miesięcy temu. Po roku zaś powinno być jeszcze lepiej. Chodzi tylko o to, żebyśmy zgodnie przetrwali kilka lat. Bo potem — z małych ludzi stanicie się dorosłymi, my zaś z mamą — starszankami. I przyjemnie nam będzie, że z naszych małych ludzi wyrosli porządni członkowie społeczeństwa, którzy w przyszłości, jako rodzice, potrafią stokrotnie rozumniej postępować i współżyć ze swoimi małymi ludźmi. Bo myślny zaczęli i nie wiedzieliśmy jeszcze, jak to czynić należy. Paweł ma rację. Chciałaś go, Zosienko skrzywdzić. Nie mamy prawa nikomu narzucać czyjegós towarzystwa. Każdy wybiera sobie sam kolegów podług swego upodobania.

I zapanował bardzo podniosły nastrój, kiedy mama przyznała się do popełnionej niezręczności i przeprosiła Pawła.



# Hanele i Herszele

Sześć lat mieszkam na tej samej ulicy. Sześć lat to dla mnie czas bardzo długi — przeszło połowa mego życia. Dobrze przyjrzałem się życiu naszego podwórka.

Podwórko budzi się o świcie. Lokatorzy wstają. Jedni idą do pracy, drudzy zostają w domu.

Staję przy oknie. Poprzez mrozem zasłonięte okienko ledwo dostrzegam pióropusz dymu, unoszący się z komina piekarni. Powoli pióropusz rozwiewa się w pojedyncze, rzadkie, szare kłęby, które po chwili całe niebo pokrywają.

Jest godzina ósma. Pierwszy przychodzi na podwórko chudy sprzedawca obwarzanków, biednie, lecz schludnie ubrany w trochę zadługi chałat, wybielony mąką przy rękawie i w czarne kamasze. Stawia na ziemi duży kosz trochę przypalonych obwarzanków i co sił w piersiach wykrzykuje:

— Kochedykie bajgiel! Kochedykie bajgiel!

Po sprzedawcy obwarzanków przychodzi chudy żyd, w podsztywnym już wieku i wykrzykuje:

— Parasolli, pasolilli, parasolilli... Sprzedaję, kupuję, reparuję!

Wtedy już wiem, że kruczowłosa Hanele czeka na Herszele, który ma zaraz wyjść z domu na wspólną zabawę.

Wkrótce przychodzi Herszele, trzymając w ręku kubek — Hanele zaś trzyma blaszaną łopatkę i drewniane foremki.

— Chodź ustawiać babki, tam jest dobra ziemia — proponuje Herszele, wskazując ręką czarną błotnistą ziemię w kącie podwórza.

Hanele zabiera zabawki i wraz z Herszelem udaje się na wskazane miejsce. Kopią razem zawzięcie. Herszele pluje do kubka — „żeby była miękka ziemia”. Pracują może dziesięć minut. Zdołali już ustawić sześć babek w dwóch rzędach. Są bardzo zadowoleni. Herszele uśmiecha się do Hanele, która nadal kopie czarną ziemię. Z przeciwnego kąta podwórza wylatuje biednie odziany chłopiec i przystaje przy babkach. Chwilę przypatruje się, wreszcie ze śmiechem... przewraca babki... Herszele płacze. Hanele biegnie na skargę do matki, która grozi pięścią łobuzowi, a ten zadowolony, wybiega z podwórza na ulicę, by pochwalić się przed kolegami.

Dzieci wracają do swego zajęcia, ale teraz, widząc kogoś w pobliżu, zasłaniają babki całym ciałem.

Przed oknem pierwszego piętra rozsiadła się młoda, ładna panna. Na podwórko przychodzi wysoka cyganka o kawowej cerze, ślicznie ubrana i podnosi swój śpiewny głosik:

— Kabalarka... kaaarty stawać! — jakgdyby chciała przedrzeć się panienką, śpiewając w oknie: „Okey, Okey”.

Nie zdążyła wyjść z podwórka, już minął ją obdarty chłopiec z paczką gazet pod pachą. I znów jak codziennie głos jego odbił się głuchym echem w drugim podwórzu:

— Fraaajnt, ceejen groszen!

Ale w tej chwili zatrzymał go policjant i wzięwszy paczkę gazet, rzekł „konfiskata”. Z paczką skonfiskowanych gazet i z rewirowym pod ręką ruszył do redakcji.

Tymczasem bez przerwy do obiadu i od obiadu do wieczora bawią się razem Herszele i Hanele — stawiają niezmordowanie babki. O godzinie 9-ej wie-

czorem podwórko usypia.

Na wiosnę dzieci podwórza porzucają swą tak miłą zabawę, jaką jest stawianie babek i całe dni bawią się w „gonionego”. A matki, jak matki zawsze muszą stanąć na przeszkodzie. Czasem nietylko bawić się nie dadzą, ale i zblizają porządnie. Bo jak dziś Chaimek bawił się w chowanego, biegał, — i wylał Rajzli garnek mleka, matka — jak na niego nie wsiądzie, jak go nie wykrzyczy.

Lecz ani biciem, ani skargami i klątwami matki nie mogą ostudzić zapału do zabawy. I codzien nie rano, gdy wszystkie dzieci zebrane są na podwórku, występuje z gromady Chaimek i zaczyna liczyć:

— Entliczek, pentliczek, czerwony stoliczek, na kogo wypadnie, na tego bęc.

A „bęc” jakoś zawsze wypada na Hanele. To też ją widzę niebawem ukrytą w kącie podwórka z zasłoniętą rękoma twarzą: ona „kryje”. I wciąż słyszę pytający głos Hanele „już?” i głosy dzieci, odpowiadające jej: „jeszcze nie. Jeszcze nie... Jeszcze nie... Już!”.

Hanele „kryje” rzetelnie: ani razu nie rzuci okiem na chowającą się gromadę. I zawsze jakoś wypada, że „kryje” po niej grubo Szlamek, o którym dzieci mówią, że „ma trzy kreski”.

Gdy białe płatki śniegu wirują w powietrzu, a ziemia pokryta jest niemi grubą warstwą, wtedy to niektóre dzieci, a między nimi i Herszele wyciągają sanki z ich zacisznego ukrycia. Można wtedy ujrzeć Hanele, ciągnącą żółte saneczki, na których siedzi Herszele. Pogania on Hanele lejcamy z dzwoneczkami, wołając: „Prędej, prędzej, tak!” — a na jego ustach widać uśmiech zadowolenia.

Hanele marzy... Marzy, aby tak, jak Herszele, mieć sanki. Siedziałyby na nich, jak królowa, ktośby ją ciągnął, a ona wołałaby i poganiała: „prędej, prędej, tak!”.

Nikt na nich nie zwraca uwagi. Panna nadal siedzi przy oknie, mącąc modne piosenki, zda się przyglądać widokowi podwórza, to też tej małej parki nie dostrzega. A Hanele ciągnie sanki i marzy... W pewnej chwili zdaje jej się, że ma własne prawdziwe sanki, siedzi w nich wygodnie, ktoś ciągnie sanki, które suną po śnieżnej przestrzeni, a ona woła i pogania: „prędej, prędej, tak!”.

I zda się, że niebo, i biały od śniegu asfalt, i szczerbate zęby rudery — cały świat zdaje się wołać do taktu małej parce, — Hanele i Herszele, — na białym od śniegu podwórku:

— Prędej, prędej, tak...  
Marek N. (12 lat).

## ZARTY.

### NIEHONOROWY.

Hrabia X ma pojedynek amerykański: wyciągnął czarną galkę — musi sam pozbać się życia. Listy rozpisane, testament zrobiony. Przyjaciele sekundanci wręczają mu rewolwer i zamyka ją samego w pokoju. Po chwili rozlega się huk strzału, wszyscy wpadają do pokoju. Hrabia siedzi na krześle z dymiącym jeszcze rewolwerem w ręku i uśmiecha się przyjaźnie do wchodzących.

— Co się stało — pytają zdziwieni przyjaciele.

— Nic... chybiłem.

— Ale teraz nikt ci ręki nie poda!

— A jakbym był nieboszczykiem, toby mi podał?



## DO FILATELISTÓW.

Proszę was, czytelnicy, aby ten, kto zbiera marki pocztowe, odpowiedział mi na pytanie:

Ja mam album, który mi kupił szwagier Salek. Mam marki z dwudziestu państw. Nie wiem tylko, jak się je wkleja do albumu, jakim klejem, czy całą markę, czy tylko brzeg?

Miecio z Milej.  
ZWIĄZEK KARMENIA ZWIĘZĄT.

Założyliśmy związek karmienia zwierząt. Do związku należało razem ze mną sześcioro dzieci.

Praca związkowa polegała na tym, że zbieraliśmy resztki obiadu i wynosiliśmy psom albo wróbelkom. Psy bardzo nas polubiły, a nam najbardziej podobał się pies Lalka.

Iwka z Siemnej.  
EGZAMIN.

W sobotę miałam egzamin u profesora muzyki, pana Lefeld. Byłam bardzo ciekawa, jak mi przejdzie egzamin i czy dobrze zagram.

Przyszła po mnie nauczycielka. Pojechałam zrem na Okólnik do Konserwatorium. Trzeba było czekać, bo pan profesor był zajęty. Grał jakiś chłopiec. Siedziałam, jak na szpilkach.

Nareszcie zasiadłam do fortepianu. Zagrałam. Bardzo się bałam, że mi się nie uda. Odetchnęłam z ulgą, gdy pan profesor pochwalił mnie.

Szczęśliwa wróciłam do domu. Muszę przyznać, że pan Lefeld jest bardzo dobrym i miłym człowiekiem.

Hala z Lubeckiego.  
BYŁ MOIM WROGIEM...

Kiedy pogniwałem się z kolegą, ten zaczął mnie przezywać „kulas”, bo ja chodzę o kuli. Było mi nieprzyjemnie, ale nic nie mówiłem, bo zdawało mi się, że koledze to przezywanie wkrótce się sprzyrzy i przestanie.

Nic jednak nie pomogło, bo kolega nadal mnie przezywał. Zdenierowało mnie to i postanowiłem z nim pomówić. Akurat spotkałem go na ulicy, więc podszedłem do niego i mówię:

— Słuchaj, kolego, przecz ty jesteś jeszcze mały i gorsze nieszczęście może cię spotkać w życiu, niż mnie spotkało, więc bardzo cię proszę, abyś przestał mnie przezywać.

Kolega odpowiedział:

— Tak mi się chce.

Wiedziałem, że to już nic nie pomoże, więc przestałem zwracać na to uwagę.

Aż pewnego dnia, wracając ze szkoły, usłyszałem, że kolega złamał nogę. Chociaż był moim wrogiem, bardzo się zmartwiłem i postanowiłem go odwiedzić.

Gdy tylko przyszedłem do jego mieszkania, on spojrzał mi w oczy i powiedział:

— Miałeś wtedy rację. Popeniłem wielki błąd.

Odtąd żyjemy w wielkiej zgodzie.

Mosze z Nowolipek.  
CHORY PALEC...

Podczas paury siedziałem w korytarzu na ławce. Wtem uczeń II-go oddziału skoczył na ławkę i przygniótł mi palec. Pomoczyłem go w zimnej wodzie i trochę mnie przestał boleć. Zadzwońiono na lekcję. U nas był hebrajski.

Gdy wchodziłem do klasy palec i znów zaczął mnie boleć. Poprosiłem pana, aby pozwolił mi zajadynować palec. Pan rozgniewał się i krzyknął:

— Wygląda tak, jakbym wam nie kazał wejść do klasy!

Więc zostałem, chociaż chłopcy mówili, że oni na moim miejscu nie posłuchaliby.

Po lekcjach palec coraz bardziej mi dokuczał, a teraz mam w nim ropę i muszę iść do chirurga, aby mi zdjął paznokcie.

Józef z Nowolipia.

TAK DŁUGO MAJSTROWAŁ...

Byłem w sobotę u wujka. Mój kuzyn Lutek ma rower i woził mnie po pokojach.

Gdy wszyscy siedzieli przy stole i rozmawiali, podszedłem cichutko do roweru i zacząłem majstrować. Tak długo majstrowałem, aż popsułem rower.

Byłem bardzo zmartwiony. Wujek pocieszył mnie:

— Nie martw się, gdybyś ty go teraz nie popsuł, Lutek sam napewno go popsuł.

Toluś z Muranowskiej.  
DZIKIE I OSWOJONE.

Tatusz przywiózł z miasta jakąś wielką torbę. Na początku nie zwracałyśmy na nią uwagi, ale po kilku sekundach z wnętrza tej torby rozległo się gruchanie i drapanie pazurami o papier.

Zaciekawiona wsadziłam rękę do torby i ku wielkiemu zdziwieniu wydobylam z niej śliczną parę białych gołąbków.

Zaraz zrobiliśmy dla nich tymczasową klatkę. Potem nakarmiłyśmy gołąbki grochem, wodą i pszenicą. Nie chciały jeść i musiałyśmy im wkładać ziarenka grochu do dzióbek. Potem trochę się oswoiły i chętnie jadły.

Raz tatusz związał im skrzydełka i puścił je. Gołąbki chodziły sobie spokojnie po dachu i wcale nie myślały o ucieczce. Więc tatusz rozwiązał im skrzydełka. Gołąbki całe dni spędzały poza domem i tylko na noc wracały do klatki. Tak się oswoiły, że latały, gdzie chciały.

Aż raz samiec uciekł. Samiczka bardzo za niego tęskniła i też uciekła. Byłyśmy smutne. Wtedy tatusz przywiózł nam inną parę gołąbków. Ale te były takie dzikie i niegrzeczne, że tatusz je potem sam wypuścił na wolność.

Elżunia z Siemnej.

MANEWRY.

Usłyszałem turkot. Zaciekawiony pobiegłam do okna. Na placu przed domem maszerowało wojsko. Turkotały armaty i cwałowała konnica.

Wybiegłem na dwór. Spotkałem tam kolegę. Powiedział, że to są manewry. Wojsko podzielone było na armię białą i czerwoną, czyli nieprzyjacielską.

Tymczasem wojsko szło dalej. Przejechał samochód z chorągiewkami. I rozpoczęła się strzelanina. Potem było już spokojnie, aż do następnego dnia.

Nazajutrz wojsko znów zaczęło maszerować. Armia czerwona cofała się. Zaraz potem nadciągnęły przednie strażyska białych. Straże wysłedyły armię czerwoną i domiosły o tem swoim. Armia biała rozpoczęła atak. Żołnierze biegli z nastawionymi karabinami.



ROZWIĄZANIA Z NUMERU PO PRZEDNIEGO:  
SLIMAK LITEROWY:

a	t	r	a	m	e	n	t
a	d	w	o	k	a	t	e
l	r	e	k	i	n	a	l
o	y	s	o	i	o	l	e
e	t	o	r	z	e	g	e
r	a	s	e	r	a	n	r
u	s	o	m	r	e	t	a
a	t	s	a	t	n	a	f

## ARYTMETYKA SŁÓW:

- 1) my + śliwy = myśliwy,
- 2) buk + areszt = Bukareszt,
- 3) lit + r = litr.

## ARYTMOGRYF.

NADEŚLAŁ M. FEIGELS.

2	1	3	X	4	5	6	1	5
7	8	9	X	10	11			
9	6	1	X	10	12	6	1	13
13	14	3	X	6	14	9		
3	10	11	X	10	15	1		
9	1	6	16	X	5	8		
2	14	7	X	1	11	16	9	
16	1	6	X	17	16	14	7	
18	14	6	X	14	4			
17	14	11	X	7	19	1		
11	10	4	10	X	10	20	14	7
2	10	11	X	6	7	18	19	1

Zamiast liczb i krzyżyków umieścić litery tak, aby powstały wyrazy o podanym niżej znaczeniu. Jednakowe liczby oznaczają jednakowe litery. Litery w kratach oznaczonych krzyżykami, czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie.

## ZNACZENIE WYRAZÓW:

- 1) zarząd miasta,
- 2) gwałtowny wicher,
- 3) widnokrąg,
- 4) przyrząd mierzący czas,
- 5) łódź wenecka,
- 6) góry,
- 7) robotnik naprawiający maszynę,
- 8) statek,
- 9) bóg grecki,
- 10) miasto we Włoszech,
- 11) zwierzę,
- 12) ustrój polityczny.

## UKŁADANKA.

NADEŚLAŁ SALEK WAJSBROT

-	a	-	a	-	r	-	c	-
t	-	h	-	p	-	a	-	a

Zamiast pasków umieścić litery tak, aby powstało znane przysłowie.

DOBRE ROZWIĄZANIA ROZRYWKI UMYSŁOWYCH NADEŚLAŁI:

Elżunia B., Lulek Berkowicz, Jakob Bichman, Edzia ze Stonima, Kuba Grijnbaum, Hela Grynberg, Krysia Grynglas, Marek Krewer, Motek Lederman, Hadas Lewinsztejn, A. Majblat, Samek Majeran, Emanuel Mazelman, Moniek Najman, Kielcia Ogórek, Chylek Ostry, Oleś Perle, Dusia Pir, W. Rajchman,

Wojsko zebrało się na Placu Kościuszki. Stamtąd odsyłano mniejsze oddziały do ataku. Co chwila huczały armaty (na niby). Potem wojska przeniosły się dalej i już przez cały dzień było spokojnie.

Następnego dnia znów rozległ się turkot. To wracały wojska czerwone. Okazało się, że wojska czerwone wygrały, chociaż wtedy wycofały się z Łomży. Przez Łomżę przeciągnęły dwa pułki zwycięzców.

Bunio z Łomży.